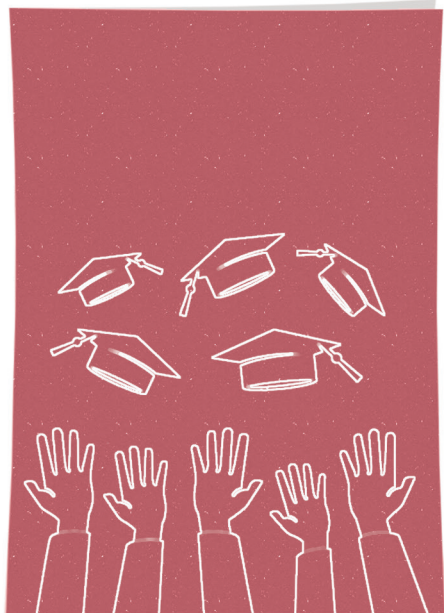
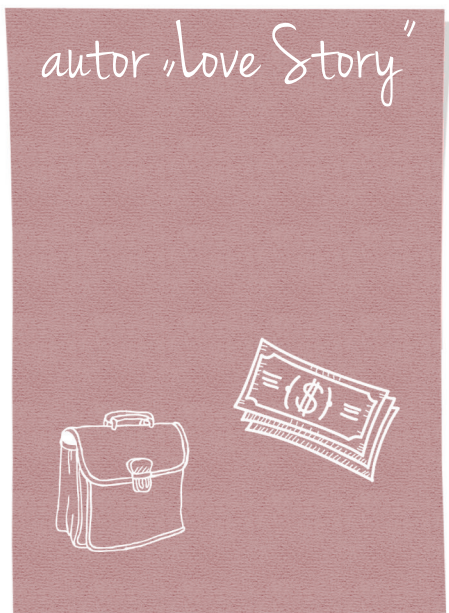




Erich Segal



DZIENNIK ANDREW ELIOTA

12 maja 1983

W przyszłym miesiącu odbędzie się dwudziesty piąty Zjazd Absolwentów mojego rocznika z Harvardu, i boję się tego panicznie.

Boję się stanąć twarzą w twarz z kolegami, którym się powiodło i którzy przyjadą opromienieni chwałą, podczas gdy ja będę mógł się pochwalić najwyżej kilkoma siwymi włosami.

Dzisiaj nadeszła pocztą gruba księga w czerwonej oprawie, opisująca wszystkie osiągnięcia rocznika 1958. Uświadomiło mi to rozmiar mojej życiowej porażki.

Nie spałem przez pół nocy, wpatrując się w twarze facetów, którzy kiedyś studiowali ze mną na jednym roku, a teraz są senatorami, gubernatorami, naukowcami światowej sławy i pionierami medycyny. Kto wie, może któryś z nich znajdzie się jeszcze na podium w Sztokholmie? Albo na trawniku przed Białym Domem?

Najciekawsze jest to, że wielu z nich nadal żyje ze swoimi pierwszymi żonami.

Kilka najbardziej błyskotliwych postaci to moi byli przyjaciele. Pewien mój współlokator, którego kiedyś uważałem za szajbusa, jest dziś najpewniejszym kandydatem na stanowisko sekretarza stanu. Przyszły rektor Harvardu to z kolei gość, któremu pożyczałem ubrania. Jeszcze inny, ledwie przez nas zauważany, stał się muzyczną sensacją naszych czasów.

Najdzielniejszy z nich wszystkich poświęcił życie sprawie, w którą wierzył. Jego bohaterstwo mnie zawstydzia.

Wracam więc w przeszłość przepelniony rozczarowaniem.

Jestem ostatnim mężczyzną z długiej linii Eliotów, którzy studiowali na Harvardzie. Wszyscy moi przodkowie byli zasłużonymi ludźmi. Wyróżnili się w czasie wojny i pokoju, na polu nauki i oświaty. Nie tak dawno, w 1948 roku, mój kuzyn Tom dostał Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury.

Moją osobę przyćmiewa blask rodzinnej tradycji. Nie mogę się nawet równać z Jaredem Eliotem, rocznik 1703, człowiekiem, który sprowadził do Ameryki rabarbar.

Z moimi szlachetnymi przodkami łączy mnie jednak pewna wątpliwość. Wszyscy byli pamiętnikarzami. Mój imiennik, wieloletni Andrew Eliot, rocznik 1737, przewodząc dzielnie swoim parafianom, prowadził dziennik, w którym opisywał realia wojny o niepodległość podczas oblężenia Bostonu w 1776 roku; dokument ten przetrwał do naszych czasów.

Kiedy tylko miasto zostało wyzwolone, Andrew Eliot pośpieszył na zebranie Rady Nadzorczej Harvardu, żeby zgłosić wniosek o przyznanie generałowi Jerzemu Waszyngtonowi doktoratu honoris causa.

Jego syn odziedziczył po nim parafię i talent pisarski, pozostawiając barwny opis początków życia w niepodległej Ameryce.

Oczywiście nie porównuję się do nich, ale tak samo jak oni, przez całe życie prowadzę osobiste zapiski. Być może to jedyna rzecz, która po mnie pozostanie. Jestem świadkiem toczącej się historii, nawet jeśli nie potrafię tego w żaden sposób wykorzystać.

Na razie wiem tylko, że panicznie się boję.

Lypali na siebie jak tygrysy oceniające zagrożenie ze strony nowego rywala. W tej dżungli nie było jednak wiadomo, gdzie czai się prawdziwe niebezpieczeństwo.

Był poniedziałek dwudziestego września 1954 roku. Tysiąc stu sześćdziesięciu dwóch najlepszych, najzdolniejszych młodzieńców z całego świata stało w kolejce przed pokracznym gmachem o nazwie Memorial Hall, zbudowanym w stylu wiktoriańskiego gotyku. Czekali, aby wpisać się na listę przyszłych członków rocznika 1958.

Pojawili się w całej gamie ubiorów, od eleganckich szat z firmy Brooks Brothers do wytartych łachów, a panowało wśród nich na przemian zniecierpliwienie, przerażenie, zblazowanie i odrętwienie. Niektórzy przebyli tysiące mil, inni tylko kilka przecznic. Wszyscy jednak wiedzieli, że jest to dopiero początek największej podróży ich życia.

Shadrach Tubman, syn prezydenta Liberii, przyleciał z Monrovii przez Paryż na nowojorskie lotnisko Idlewild, skąd przywieziono go do Bostonu limuzyną należącą do ambasady.

John D. Rockefeller IV przyjechał zwyczajnym pociągiem z Manhattanu, a potem szarpnął się na taksówkę od Stacji Południowej na dziedziniec uniwersytecki.

Natomiast Aga Khan najwyraźniej po prostu się ukazał. (Inne wersje głosiły, że przyleciał na zaczarowanym dywanie albo prywatnym odrzutowcem). W każdym razie stał w kolejce do rejestracji jak zwykły śmiertelnik.

Ci nowicjusze już od początku byli znakomitościami. Od razu po urodzeniu znaleźli się w świetle reflektorów.

Lecz tego ostatniego dnia lata 1954 roku na firmamencie miało

rozbłysnąć jeszcze tysiąc innych komet, na razie pograżonych w anonimowym mroku.

Wśród nich byli: Daniel Rossi, Jason Gilbert, Theodore Lambros i Andrew Eliot. To oni, wraz z piątą postacią, która wciąż przebywała wtedy na drugim końcu świata, są bohaterami tej opowieści.

DANIEL ROSSI

*Rankiem śpiew wróbla na olchy szczycie
Rozbrzmiewał niebiańsko w koronie drzewa;
O zmroku, gdy w mym domu zaczął nowe życie,
Ptak kwili smętnie, jakby się gniewał,
Że go pozbawiłem i rzeki, i nieba.*

Ralph Waldo Emerson, rocznik 1821

Od wczesnego dzieciństwa Daniel Rossi miał jeden obsesyjny cel — przypodobać się ojcu. Prześladował go też jeden i ten sam koszmar — że nigdy mu się to nie uda.

Z początku wierzył, że za maską obojętności doktora Rossiego kryje się jakiś istotny powód. Danny był przecież chudym, pozbawionym mięśniów bratem najtwardszego futbolisty w historii kalifornijskiego Orange County. Przez cały czas gdy Frank Rossi zdobywał punkty i interesowali się nim trenerzy z college'ów, tata poświęcał mu tak wiele uwagi, że nie znajdował już czasu dla swojego młodszego syna.

Fakt, że Danny dostaje dobre stopnie — co Frankowi nigdy się nie przytrafiało — nie robił na nim żadnego wrażenia. Przecież Frank miał całe sześć stóp i dwa cale (był o głowę wyższy od Danny'ego)! Wystarczyło, że pojawił się na boisku, by cały stadion zaczął wiwatować na stojąco.

Cóż takiego mógł zrobić mały okularnik i rudzielec Danny, żeby zasłużyć sobie na podobne oklaski? Był, co prawda — tak przynajmniej twierdziła jego matka — utalentowanym pianistą.

Prawie geniuszem. Większość rodziców byłaby z tego dumna. Doktor Rossi nigdy jednak nie przyszedł na żaden z jego publicznych występów.

Rzecz zrozumiała, Danny odczuwał silne przyływy zazdrości. I gorycz zamieniającą się powoli w nienawiść. Frank nie jest Bogiem, tato. Ja też istnieję. Prędzej czy później zauważysz to.

Potem, w roku 1950, Frank, który służył w wojsku jako pilot myśliwca, został zestrzelony nad Koreą. Tłumiona boleśnie zazdrość Danny'ego przerodziła się teraz w żal, a potem w poczucie winy. Czuł się w jakiś sposób odpowiedzialny. Jak gdyby życzył bratu śmierci.

Na uroczystości nadania szkolnemu stadionowi imienia Franka ojciec nie mógł powstrzymać łez. Danny patrzył z udręką na człowieka, którego tak bardzo podziwiał. Przysiągł sobie, że będzie dla niego pociechą. Ale jak mógł przywrócić ojcu radość życia?

Arthura Rossiego drażnił sam dźwięk pianina, na którym grał Danny. Dzień pracy dentysty upływa przecież w dręczącym hałasie wiertła. Wybudował więc w piwnicy wyściełane korkiem studio dla swojego syna — jedyne, który pozostał przy życiu.

Danny rozumiał, że nie jest to żaden gest szczerego serca i że ojciec chce się uwolnić nie tylko od jego pianina, lecz także od jego widoku.

A jednak Danny postanowił nie poddawać się w walce o uczucia ojca. Czuł, że jedynie przez sport uda mu się wydobyć z głębi ojcowskiej niełaski.

Dla chłopca o jego budowie istniała tylko jedna możliwość — bieganie. Znalazł odpowiedniego trenera i nieśmiało poprosił o radę. Wstawał teraz codziennie o szóstej rano, nakładał trampki i wybiegał z domu na trening. Przez pierwsze tygodnie trenował tak gorliwie, że nabawił się odcisków i ledwo mógł powłóczyć nogami. Ale wytrwał. I zachował wszystko w tajemnicy. Aż będzie miał czym pochwalić się przed tatą...

Pierwszego dnia wiosny trener kazał przebiec całej drużynie milę, żeby sprawdzić formę. Danny był zdziwiony, że przez pierwsze trzy okrążenia udawało mu się trzymać w pobliżu najlepszych biegaczy.

Niespodziewanie jednak poczuł pieczenie w ustach i ból w

piersiach. Zaczął zwalniać. Nagle usłyszał głos trenera ze środka boiska:

— Trzymaj tak dalej, Rossi. Nie poddawaj się!

Nie chcąc narazić się na niezadowolenie swojego przybranego rodzica, Danny przepchnął swe znużone ciało przez ostatnie okrążenie. Wycieńczony rzucił się na trawę. Nie zdążył jeszcze złapać tchu, kiedy trener stanął nad nim ze stoperem w ręku.

— Nieźle, Danny. Ładnie mnie zaskoczyłeś: pięć minut czterdzieści osiem sekund. Trenuj dalej, a będziesz biegał jeszcze lepiej. Zresztą pięć minut może z czasem dać ci trzecie miejsce na zawodach. Idź do magazynu po strój i kolce.

Przezuwając bliskość swojego celu, Danny na jakiś czas zarzucił popołudniowe ćwiczenia na pianinie, żeby trenować razem z drużyną. Zazwyczaj oznaczało to dziesięć lub dwanaście morderczych okrążeń boiska. Niemal po każdym treningu wymiotował.

• • •

Kilka tygodni później trener oznajmił, że w nagrodę za wytrwałość Danny weźmie udział w pojedynku z drużyną Valley High.

Tego wieczoru powiedział ojcu. Doktor Rossi postanowił przyjść na zawody, nie zważając na ostrzeżenia syna, który mówił, że prawdopodobnie zostanie sromotnie pokonany.

W sobotę po południu Danny'emu udało się przeżyć trzy najszcześniejsze minuty swojego dzieciństwa.

Kiedy niespokojni biegacze ustawiali się na środku wysypanej żużlem bieżni, Danny zobaczył swoich rodziców w pierwszym rzędzie na trybunie.

— Dalej, synu — zagrzewał go do walki ojciec. — Pokaż im, co potrafi prawdziwy Rossi.

Danny tak się przejął tymi słowami, że zapomniał o wskazówkach trenera, by oszczędzać siły i nie podkręcać tempa. Zamiast tego, ledwo wystrzelił pistolet startowy, Danny rzucił się do przodu i prowadził przez całe pierwsze okrążenie.

Chryste — pomyślał doktor Rossi — ten chłopak to mistrz.

Cholera — pomyślał trener — ten chłopak to wariat. Opadnie z sił.

Po pierwszym okrążeniu Danny spojrzął w stronę ojca i zobaczył coś, co dotąd wydawało mu się niemożliwe — uśmiech dumy z jego powodu.

— Siedemdziesiąt jeden sekund! — zawołał trener. — Za szybko, Rossi. O wiele za szybko.

— Dobra robota, synu! — zawołał doktor Rossi.

Następne okrążenie Danny przeleciał na skrzydłach ojcowskiej łaski.

W połowie dystansu wciąż był w czołówce. Teraz jednak zaczęło go palić w płucach. Na kolejnym zakręcie zabrakło mu powietrza. Przeżywał coś, co biegacze nie bez racji nazywają *rigor mortis* — stężenie pośmiertne. Umierał w biegu.

Rywale śmignęli obok i wysforowali się daleko przed niego. Z drugiego końca boiska usłyszał okrzyk ojca:

— Dalej, Danny, weź się w garść!

Kiedy w końcu dotarł do mety, nagrodzono go oklaskami. Były to pełne współczucia oklaski, którymi wita się beznadziejnie zdeklasowanego zawodnika.

Ślaniając się na nogach, spojrzął w stronę trybun. Matka uśmiechała się pocieszająco. Ojca nie było. Przypominało to koszmarny sen.

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu trener był zadowolony.

— Rossi, nie widziałem bardziej upartego faceta. Zmierzyłem ci czas: pięć minut piętnaście sekund. Masz ogromne możliwości.

— Ale nie na bieżni — odparł kuśtykający Danny. — Rzucam to.

Zrozumiał ze smutkiem, że wszystkie starania tylko pogorszyły sytuację. Całe to żenujące przedstawienie odbyło się bowiem na stadionie imienia Franka Rossiego.

• • •

Ponizony Danny wrócił do swego dawnego życia. Klawiatura pianina stała się ujściem dla wszystkich jego frustracji. Ćwiczył teraz dzień i noc, zapominając o bożym świecie.

Odkąd skończył sześć lat, pobierał lekcje u miejscowej nauczycielki. Teraz jednak ta czcigodna, siwowłosa matrona powiedziała otwarcie jego matce, że nie może go już niczego więcej nauczyć. Napomknęła też pani Giseli Rossi, że jej syna

powinien przesłuchać Gustave Landau, były wiedeński solista, a teraz, w jesieni życia, dyrektor muzyczny pobliskiego college'u San Angelo.

Staruszek był pod wrażeniem tego, co usłyszał, i przyjął Danny'ego na swojego ucznia.

— Profesor Landau mówi, że Danny gra bardzo dobrze jak na swój wiek — doniosła Gisela mężowi przy obiedzie. — Uważa, że mógłby nawet zostać zawodowym muzykiem.

Doktor Rossi skwitował to jedną głóską: „O”. Znaczyło to, że powstrzymuje się od wszelkich komentarzy.

• • •

Profesor Landau był zycziwym, choć wymagającym mentorem. A Danny idealnym uczniem. Miał nie tylko talent, lecz także chętnie poddawał się naukom. Kiedy Landau kazał ćwiczyć mu etiudy Czerny'ego codziennie po godzinie, Danny ćwiczył trzy albo cztery godziny.

— Czy robię szybkie postępy? — dopytywał się niecierpliwie.

— Och, Danielu, mógłbyś nawet pracować troszkę mniej. Jesteś młody. Powinieneś czasem się rozerwać.

Danny nie miał jednak czasu i wiedział, że nic nie potrafi go „rozerwać”. Śpieszył się, żeby dorosnąć. Każdą chwilę, kiedy nie był w szkole, spędzał przy pianinie.

Doktor Rossi zdawał sobie sprawę, że jego syn staje się odludkiem. Denerwowało go to.

— Mówię ci, Giselo, to niezdrowe. Za bardzo się stara. Może chce w ten sposób zrekompensować swój niski wzrost albo coś innego. Chłopak w jego wieku powinien umawiać się z dziewczętami. Frank był już wtedy prawdziwym casanową.

Art Rossi zadrezczał się myślą, że jego własny syn jest taki... zniewieściał.

Pani Rossi z kolei uważała, że gdyby obaj zbliżyli się do siebie, jej mąż przestałby mieć zarzuty wobec syna.

Następnego wieczoru pod koniec obiadu zostawiła ich samych. Żeby mogli sobie porozmawiać.

Jej mąż był tym wyraźnie rozdrażniony, jako że rozmowa z Dannyem zawsze wytrącała go z równowagi.

— W szkole wszystko w porządku? — spytał.

— I tak, i nie — odparł Danny, tak samo niespokojny jak ojciec. Doktor Rossi przypominał zdenerwowanego piechura, który boi się, żeby nie wejść na pole minowe.

— O co chodzi?

— Tato, wszyscy w szkole uważają mnie za dziwaka. Przecież mnóstwo muzyków jest do mnie podobnych.

Doktorowi Rossiemu zrobiło się gorąco.

— Jak to, synu?

— No, naprawdę kochają to, co robią. Ja też taki jestem. Chcę, żeby muzyka stała się moim życiem.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której doktor Rossi szukał właściwej odpowiedzi.

— Jesteś moim synem — wykrztusił w końcu, wybierając unik zamiast słów wyrażających szczere uczucie.

— Dzięki, tato. Pójdę poćwiczyć.

Kiedy Danny wyszedł, Art Rossi nalał sobie drinka i pomyślał: „Chyba powinienem być wdzięczny losowi. Zamiłowanie do muzyki jest w końcu lepsze niż zamiłowanie do wielu innych rzeczy, które łatwo sobie wyobrazić”.

• • •

Tuż po szesnastych urodzinach Danny zadebiutował jako solista w szkolnej orkiestrze. Pod batutą swojego mentora i przy pełnej sali, w której siedzieli także jego rodzice, zagrał trudny technicznie II *Koncert fortepianowy* Brahmsa.

Kiedy Danny, blady z przerażenia, wszedł na scenę, blask prymitywnych reflektorów niemal oślepił go przez okulary. Był jak sparaliżowany, gdy w końcu dotarł do fortepianu.

Profesor Landau podszedł do niego i szepnął:

— Nie martw się, Danielu, jesteś dobrze przygotowany.

Strach zniknął w cudowny sposób.

Oklaskom nie było końca.

Kłaniając się publiczności i ściskając dłoń nauczyciela, Danny ze zdziwieniem dostrzegł w oczach staruszka łzy.

Landau objął swego protegowanego.

• • •

— Wiesz, Dan, byłem dziś z ciebie naprawdę dumny.

W normalnych okolicznościach spragniony ojcowskiej miłości syn wpadłby w zachwyty, słysząc podobny komplement. Lecz tego wieczoru Danielowi Rossiemu szumiało w głowie od nowego doświadczenia: uwielbienia tłumów.

• • •

Od pierwszej klasy liceum Daniel myślał o Harvardzie, gdzie mógłby studiować kompozycję pod kierunkiem Randalla Thompsona, eksperta muzyki chóralnej, i Waltera Pistona, muzycznego wirtuoza. Dzięki tej perspektywie udawało mu się jakoś przebrnąć przez nauki ścisłe, przyrodnicze i społeczne.

Z sentymentalnych powodów doktor Rossi wolałby widzieć swojego syna na uniwersytecie w Princeton, osławionym przez F. Scotta Fitzgeralda. Princeton miał się też stać uczelnią Franka.

Lecz Danny był głuchy na wszelkie argumenty. W końcu Art Rossi dał za wygraną.

— Nie mogę z nim dojść do ładu. Niech już idzie, gdzie chce.

Zdarzyło się jednak coś, co wystawiło na próbę liberalizm dentysty. W roku 1954 gorliwy senator McCarthy wziął pod lupę Harvard jako „świątynię komunizmu”. Część profesorów odmówiła współpracy z komisją senatora, nie chcąc rozmawiać o poglądach politycznych swoich kolegów.

Co gorsza, rektor Harvardu, uparty profesor Pusey, odmówił zwolnienia ich z pracy, czego żądał Joe McCarthy.

— Synu — coraz częściej mawiał doktor Rossi — jak człowiek, którego brat zginął, broniąc nas przed komunistami, może nawet pomyśleć, żeby pójść na taką uczelnię?

Danny trwał w milczeniu. Po co miał mówić, że muzyka nie ma nic wspólnego z polityką?

Podczas gdy doktor Rossi podtrzymywał swoje zastrzeżenia, matka starała się zająć neutralne stanowisko. Jediną osobą, z którą Danny mógł porozmawiać o swoim życiowym problemie, pozostawał więc profesor Landau.

Staruszek był ostrożny w słowach. Wyznał jednak Danny’emu:

— Przeraza mnie ten McCarthy. Wiesz, w Niemczech zaczęło się podobnie.

Urwał, jakby pod wpływem wciąż bolesnych wspomnień. Po chwili odezwał się cicho:

— Danielu, cały kraj pogrąży się w strachu. Senator McCarthy myśli, że może rozkazywać władzom Harvardu, mówić im, kogo mają zwolnić i tak dalej. Moim zdaniem, rektor wykazał się niezwykłą odwagą. Mam zamiar przekazać mu wyrazy mojego podziwu.

— Jak, panie profesorze?

Staruszek pochylił się lekko w stronę swojego znakomitego ucznia i powiedział:

— Wyślę im ciebie.

• • •

Nadeszły idy majowe, a wraz z nimi zawiadomienia o przyjęciu na studia. Princeton, Harvard, Yale, Stanford — wszystkie te uczelnie chciały widzieć u siebie Danny'ego. Nawet doktor Rossi był tym poruszony — choć obawiał się, że jego syn może dokonać fatalnego wyboru.

• • •

Sądny dzień nadszedł podczas weekendu, kiedy doktor wezwał Danny'ego do swojego wyściełanego kurdybanem gabinetu. Zadał mu zasadnicze pytanie.

— Tak, tato — padła nieśmiała odpowiedź. — Idę na Uniwersytet Harvarda.

Zapanowała śmiertelna cisza.

Do tej chwili Danny po cichu liczył na to, że kiedy ojciec pozna jego stanowczość, w końcu ustąpi.

Ale Arthur Rossi był niewzruszony jak kamień.

— Dan, żyjemy w wolnym kraju. Masz prawo iść na studia tam, gdzie chcesz. Ale ja też mam prawo wyrazić swój sprzeciw. Postanawiam więc, że nie dam ani grosza na twoje rachunki. Gratuluję ci, synu, jesteś teraz samodzielny. Właśnie ogłosiłeś swoją niezależność.

Przez krótką chwilę Danny poczuł paniczny zamęt. Kiedy jednak przyjrzał się uważnie twarzy ojca, zaczął uświadamiać sobie, że cała ta sprawa z McCarthym posłużyła tylko za pretekst. Arta Rossiego po prostu wcale nie obchodził los syna.

Zrozumiał też, że musi wnieść się ponad dziecinną potrzebę zaimponowania temu człowiekowi.

Teraz bowiem wiedział już, że nigdy mu się to nie uda. Nigdy.
— W porządku, tato — wyszeptał ochryplym głosem — jeśli
tego sobie życzysz...

Odwrócił się i bez słowa wyszedł z pokoju. Przez masywne
drzwi słyszał walenie w pulpit ojcowskiego biurka podobne do
partii kotłów w symfonii.

A jednak, z jakiegoś dziwnego powodu, poczuł się wolny.

JASON GILBERT junior

*radość mu była hymnem i pieśnią
zdolną poruszyć piasty gwiazd
czystą jak teraz teraz i tak
szczęśliwym nadgarstkiem świtu.*

*ciało miał z ciała a krew z krwi:
głodny oddałby mu swój chleb; kaleka piąłby
się zaś pod górę,
by tylko dojrzeć jego uśmiech.*

e.e. cummings, rocznik 1915

To był prawdziwy *golden boy*. Wysoki, jasnowłosy Apollo,
obdarzony tym rodzajem magnetyzmu, który wywołuje
uwielbienie kobiet i podziw mężczyzn. Wyróżniał się w
każdej dyscyplinie sportu, jaką uprawiał. Nauczyciele uwielbiali
go, bo mimo swej powszechnej popularności okazywał im
posłuszeństwo i respekt.

Krótko mówiąc, był tym rzadko spotykanym rodzajem
młodzieńca, którego każdy rodzic chciałby mieć za syna. A każda
kobieta za kochanka.

Można wręcz powiedzieć, że Jason Gilbert junior był
uosobieniem amerykańskiego mitu. Z pewnością wielu tak uważało.
Pod olśniewającą zewnętrzną powłoką kryła się pewna rysa.
Tragiczna skaza odziedziczona po przodkach.

Jason Gilbert urodził się Żydem.

Jego ojciec ciężko się napracował, żeby ukryć ten fakt. Jason Gilbert senior wiedział bowiem z doświadczeń dzieciństwa spędzonego na Brooklynie, że żydowskie pochodzenie oznaczało tyle, co fizyczna lub duchowa ułomność. Życie byłoby o wiele prostsze, gdyby każdy mógł być po prostu Amerykaninem.

Długo rozważał, czy nie uwolnić się od ciężaru, jakim było jego nazwisko. W końcu, pewnego jesiennego popołudnia 1933 roku, sędzia sądu obwodowego podarował Jacobowi Gruenwaldowi nowe życie pod nazwiskiem Jason Gilbert.

Dwa lata później, na wiosennej zabawie w swoim klubie, poznał Betsy Newman, drobną, piegowatą blondynkę. Mieli ze sobą wiele wspólnego. Na przykład zamiłowanie do teatru, tańca, sportu na świeżym powietrzu. Co nie mniej ważne, łączyła ich też głęboka obojętność w stosunku do wiary ich przodków.

Żeby uniknąć nacisków ze strony swoich bardziej religijnych krewnych, którzy nalegali na „właściwą” ceremonię zaślubin, postanowili ulotnić się razem.

Było to udane małżeństwo, a jego szczęście powiększyło się jeszcze bardziej w 1937 roku, kiedy Betsy urodziła syna, któremu dali na imię Jason junior.

Kiedy tylko starszy Gilbert w zadymionej poczekalni usłyszał tę wspaniałą wiadomość, coś sobie poprzysiągł. Postanowił chronić nowo narodzonego syna przed najmniejszą trudnością, jaką mógł napotkać z tego powodu, że jego rodzice byli Żydami. Nie, ten chłopiec zostanie w przyszłości pełnowartościowym członkiem amerykańskiego społeczeństwa.

Gilbert senior był już w tym czasie wiceprezesem szybko rozwijającego się Krajowego Przedsiębiorstwa Telekomunikacji. Mieszkali z Betsy w rozległej posiadłości o powierzchni trzech akrów w ciągle rozbudowywanej — i pozbawionej gett — miejscowości Syosset na Long Island.

Trzy lata później urodziła się jego siostra Julie. Odziedziczyła po matce piegi oraz, podobnie jak brat, jasnoniebieskie oczy i blond włosy.

Ich dzieciństwo było prawdziwą sielanką. Oboje wydawali się rozkwitać dzięki programowi doskonalenia się obmyślonemu dla nich przez ojca. Zawierało się w nim pływanie, jazda konna i

lekcje gry w tenisa. I oczywiście jazda na nartach podczas ferii zimowych.

Młody Jason był przygotowywany w łagodnej dyscyplinie na króla kortów tenisowych.

Z początku trenował w pobliskim klubie. Kiedy jednak okazało się, że ma talent, dokładnie tak jak oczekiwał tego ojciec, starszy Gilbert zaczął osobiście zawozić swojego przyszłego mistrza do Forest Hills na lekcje z Ricardem Lopezem, byłym mistrzem Wimbledonu i Stanów Zjednoczonych. Ojciec nie opuścił ani minuty z tych lekcji, wykrzykując do Jasona słowa zachęty i napawając się jego postępami.

Gilbertowie zamierzali wychować dzieci areligijnie. Wkrótce jednak odkryli, że nawet w tak swobodnym otoczeniu jak w Syosset nikt nie może istnieć w bezwyznaniowej próżni. Okazało się to gorsze niż bycie obywatelem drugiej kategorii.

Los uśmiechnął się do nich ponownie, gdy w sąsiedztwie wybudowano nowy kościół unitariański. Przyjęto ich do niego serdecznie, choć pojawiali się tam, ogłędnie mówiąc, sporadycznie. Rzadko kiedy przychodzili na niedzielną mszę. Boże Narodzenie spędzali w górach, a Wielkanoc nad morzem. Przynajmniej jednak gdzieś należeli.

Rodzice byli na tyle inteligentni, żeby wiedzieć, iż próbując wychować dzieci na rasowych Anglosasów, wpędzą je w końcu w psychiczne rozterki. Uczyli więc syna i córkę, że ich żydowskie pochodzenie jest jak strumyk płynący ze Starego Kraju po to, by połączyć się z potężną rzeką amerykańskiego społeczeństwa.

Julie poszła do szkoły z internatem, lecz Jason wolał zostać w domu i zapisać się do Akademii Hawkinsa-Atwella. Kochał Syosset, a myśl o zaniechaniu randek z dziewczętami wydawała się mu szczególnie nieprzyjemna. Był to, obok tenisa, jego ulubiony sport. Odnosił w nim równie wielkie sukcesy.

Co prawda, jako uczeń nie był żadnym asem. Miał jednak na tyle dobre stopnie, żeby bez obaw myśleć o przyjęciu na uczelnię, o której marzyli razem z ojcem — Yale.

Za Yale przemawiały argumenty racjonalne i emocjonalne. Absolwent Yale wydawał się potrójnym arystokratą — dżentelmenem, uczonym i sportowcem. A Jason po prostu wyglądał tak, jakby urodził się po to, żeby tam studiować.

• • •

Lecz koperta, która nadeszła rankiem dwunastego maja, była podejrzenie cienka, jakby zawierała tylko krótkie zawiadomienie. Bolesne w treści.

Yale odrzuciło jego kandydaturę.

Konsternacja Gilbertów przerodziła się we wściekłość, gdy dowiedzieli się, że Tony Rawson, który miał stopnie wcale nie lepsze od Jasona i z całą pewnością gorszy backhand, został przyjęty.

Ojciec Jasona postanowił zobaczyć się z dyrektorem szkoły, absolwentem Yale.

— Panie Trumbull — zagrzmiął — czy mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego odrzucono kandydaturę mojego syna, a przyjęto młodego Rawsona?

Posiwiwały na skroniach pedagog pyknął dymem z fajki i odparł:

— Musi pan zrozumieć, panie Gilbert, że Rawson ma za sobą rodzinną tradycję. Jego ojciec i dziadek studiowali na Uniwersytecie Yale. To bardzo się tam liczy. Przywiązanie do tradycji jest na Yale bardzo silne.

— Dobrze, dobrze — odparł starszy Gilbert — ale czy może mi pan dać jakieś wyjaśnienie, dlaczego chłopiec taki jak Jason, prawdziwy dżentelmen, wybitny sportowiec...

— Tato, proszę — przerwał mu Jason, coraz bardziej zażenowany.

Lecz ojciec uparł się.

— Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego pańska uczelnia nie chce chłopca?

Trumbull oparł się plecami o krzesło i powiedział:

— Cóż, panie Gilbert, nie znam rzeczywistych motywów komisji uczelnianej. Wiem jednak, że przy przyjmowaniu na Yale obowiązuje zasada „zrównoważonych proporcji” na każdym kroku.

— Proporcji?

— Widzi pan — tłumaczył dyrektor rzeczowym tonem — bierze się pod uwagę kwestię rozproszenia geograficznego, czy ktoś z rodziny był absolwentem uczelni, tak jak w przypadku Tony’ego. Poza tym chodzi o proporcje uczniów szkół państwowych i prywatnych, muzyków, sportowców...

Ojciec Jasona zdążył się już zorientować, co Trumbull chce powiedzieć.

— Panie Trumbull — spytał, z najwyższym wysiłkiem zdobywając się na spokój — czy te „proporcje”, o których pan mówi, dotyczą również spraw wyznania?

— Prawdę mówiąc, tak — odparł uprzejmie dyrektor. — Na Yale nie ma w tym względzie tak zwanych norm procentowych. Do pewnego stopnia kontroluje się jednak liczbę przyjmowanych studentów żydowskiego pochodzenia.

— To niezgodne z prawem!

— Nie powiedziałbym tego — odparł Trumbull. — Żydzi stanowią, proszę mnie poprawić, dwa i pół procent ludności całego kraju. Idę z panem o zakład, że na Yale przyjmuje się czterokrotnie wyższy procent.

Gilbert senior nie chciał iść z Trumbullem o zakład. Coś mówiło mu, że tamten zna dokładną liczbę Żydów przyjmowanych co roku do swej *alma mater*.

Jason bał się, że ojciec wybuchnie gniewem, i pragnął za wszelką cenę go powstrzymać.

— Tato, nie chcę studiować na uczelni, która mnie nie chce. Niech się wypchają.

Potem zwrócił się do dyrektora i przeprosił:

— Proszę mi wybaczyć.

— Nic nie szkodzi — odparł Trumbull. — Całkiem zrozumiała reakcja. Zastanówmy się teraz konstruktywnie. W końcu uczelnia, którą wskazałeś na drugim miejscu, jest też bardzo dobra. Niektórzy uważają nawet, że Harvard to najlepszy uniwersytet w kraju.